Nr 6 Kraków, dnia 1 stycznia 1926 Rok 2.

BŁYSKI

— 0o0 —

PISEMKO
UCZENIC ŻEŃSKIEGO PRYW. SEM. NAUCZ. T. S. L. w KRAKOWIE

CI, KTÓRZY ODESZŁI...

Literatura polska poniosła w ostatnich czasach wielką stratę. Śmierć zabrała dwóch najznakomitszych powieściopisarzy naszych: Żeromskiego i Reymonta.

Dnia 20 listopada 1925 r. umiera Stefan Żeromski, jeden z najwybitniejszych synów Rzeczypospolitej, której służył wiernie i wytrwale swą twórczością, opromieniając jej przeszłość w granitowej epopei „Popiołów, rozsnuwając szary i smutny obraz doli powstańczej w „Wiernej rzece“ — aż do wizji Odrodzonej Polski której zapowiedzią jest „Przedwiośnie“ — część I-sza zamierzonej Trylogji.

Twórczość Żeromskieho oparła się na dwu podstawach: na gorącej miłości wyśnionej, oczekiwanej w męce i niepokoju długich lat Ojczyzny i na głębokiej, serdecznej litości nad wszelką nędzą życia ludzkiego.

Jak nikt inny, odczuwał Żeromski troski i bóle wszystkich opuszczonych, biednych, wydziedziczonych — wszystkich ludzi bezdomnych. Umiał Żeromski w swych powieściach odtwarzać silne postacie bohaterów czynu, ludzi — poświęcających ofiarnie siły i życie umiłowanej idei. Takimi są: Dr. Judym w „Ludziach bezdomnych“ i Nienaski w „Nawracaniu Judasza“. Takie silne postacie rzucił Żeromski na tło życia współczesnego, którego nędze i radości umiał odmalować z całym realizmem.

Ledwie umilkły dzwony żałobne, wieszczące Polsce śmierć Żeromskiego, — już dowiedzieliśmy się o zgonie drugiego tytana naszej literatury Władysława Reymonta.

Dnia 5-o grudnia zmarł mistrz języka polskiego, laureat Nobla, pisarz, który sławą opromienił swoją Ojczyznę. Wieś polska znalazła w nim swego Homera, odtwarzającego genjalnem piórem życie chłopa polskiego - pełne trudu i ciężkiej pracy, a równocześnie odnajdującego w niem tyle barw i blasków, ile kwiatów wiosennych okrywa łąki polskie.

Reymont znał nietylko trud rąk chłopskich, wydzierających ziemi — macierzy bujne plony; znał też i rozumiał życie miasta, wrące i niespokojne w wiecznej walce o byt, życie „Ziemi obiecanej", — Łodzi; znał i odczuwał męczeńskie dzieje „Ziemi Chełmskiej" — gdzie biegły tragiczne dnie Unitów; znał też ciche dramaty serc marzycieli i umiał wczuć się w każdą niedolę ludzką.

Przeszłość historyczna znalazła oddźwięk w potężnej Trylogji „*ROK 1794*"; tam ukazał nam Reymont, jak z chaosu dźwiga się wielka myśl polska i wielki czyn: Insurekcja Kościuszkowska.

Wcześnie, zbyt wcześnie przecięła śmierć nić życia dwóch powieściopisarzy naszych.

Jeszcze Rzeczpospolita oczekiwała od nich wielu myśli wzniosłych; wielu promieni do wieńca chwały — dziś w żałobnej powadze chyli głowę przed trumnami.

„Efzet" kurs V.

MORZE.

Pod błękitem przeczystym morze się kołysze,
Nieobjęte, olbrzymie zórz i gwiazd zwierciadło.
W głębi chowa milczenie i wieczystą ciszę,
Ukojenie dla serca, co w przepaść zapadło.

Cicho... aż wicher się zerwał, fal tonie rozorał,
Srebrem pian je okwiecił, rozburzył--- szalony;
I oto morze szumi swój odwieczny chorał:
Jęczą w głębi rozbite, kryształowe dzwony.

I znów cicho... hen słońce zapada w purpurze,
Szmaragdowym bezkresom rzuca pożegnanie
I ciska hojnie w głębię rubiny i róże,
Nim rano znów ponad nią w glorjach zorzy
[wstanie.

„Efzet" kurs V.

PLANTY KRAKOWSKIE w zimie.

Piękne są planty nasze w porze letniej ale zima potęguje ich urok. Po szarej i mokrej jesieni — kiedy ogołocone z liści drzewa bezlitośnie sterczą, wyciągając z rozpaczą okaleczone nieumiejętną ręką ramiona, a pod nogami błoto chlupoce wcale niezachęcając do przechadzki — nadchodzi ostra zima, hojnie sypiąc śniegiem. Wtenczas stają planty w nowej, prześlicznej krasie — wydają się czarodziejskim lasem, pełnym tajemniczego uroku Szeregi drzew z okiścią srebrną iskrzą się jak obsypane brylantami pod nogami skrzypi śnieg zmarznięty.

Na ścieżkach pojawiają się saneczki, a rozbawiona dziatwa s.u.n.i.e na nich, ciągnie i popycha — nie pomna na zakaz — a cieszy się i raduje najwięcej wtenczas, gdy saneczki, się wywrócą i wpadną w puchową śnieżną, białą pościel.

Jakże dobrze i miło znaleść się w piękny dzień zimowy w tym czarodziejskim krakowskim ogrodzie i chociaż na chwilę stracić poczucie rzeczywistości, zapomnieć o codziennej szarzyźnie życia!

„Lotos".

Wspomnienie z kolonji wakacyjnej.

Dwudniowa wycieczka na Raczą!!

O nieba!! — Jednak wieść prawdziwa. Z upragnieniem oczekiwany dzień! Nareszcie po tylu oczekiwanych dniach pogoda się ustaliła wymarzona — — pogoda.

Wczesnym rankiem zbudził nas głos dzwonka. Gwar, rwetes, bieganina to do Cięcinki naszej kochanej, to do kuchni, to znów do koleżanek z drugiej sali. „Melancholja, pożycz mi kawałek sznurka!" Może masz jeszcze papier, Piąteczko, muszę chleb zawinąć!" „Sweter, koc trzeba brać!" — Gwałt — — nie do opisania A w kuchni biedne piątokursistki krają i krają chleb, — jeden bochenek za drugim, — smarują i smarują. — Przygotowały 600 kromek, a stanowczo byłoby się przydało i więcej!

Nareszcie zebrałyśmy się i podążyłyśmy na stację. Bilety już kupione. Rozlega się świst, huk lokomotywy i pociąg zajeżdża na stację. Wsiadłyśmy lecz nie na długo, minęłyśmy Milówkę, a od Rajczy czekała nas droga piesza.

Wstąpiłyśmy do kościoła i ruszyłyśmy do pobliskiej wsi — Rycerki dolnej, gdzie zrobiłyśmy dłuższy postój u zarządcy lasów. Na rozległej polanie z płynącą tuż obok rzeką, pod rozłożystemi drzewami odpoczywałyśmy do południa.

Głos trąbki — stałej towarzyszki wycieczek naszych — kazał nam opuścić miły zakątek.

Idziemy . . . idziemy . . ., słońce coraz mocniej przypieka, coraz częściej słychać westchnienia: „Och! jak gorąco"! „Kiedy nareszcie dojdziemy do leśniczówki?" — Tymczasem mija godzina za godziną, a my idziemy. . . .

Słońce kryje się wreszcie za szare pasemko chmur na zachodzie. Jeszcze ostatnie promienie musnęły łany zbóż, ozłociły na krótką chwilę szczyty drzew i nastąpiła cisza i taki spokòj w całej otaczającej przyrodzie, że niejednej z nas zdawało się, że zdala od świata potrafiłaby pozostać aby napawać się tą atmosferą kojącą dusze. Zatrzymałyśmy się wreszcie na łące przed starą szkołą i tu zostały słabsze uczenice pod opieką pani gospodyni, aby z nią pospacerować po kilku okolicznych pagórkach.

Wytrwalsze natomiast piechury z p. G. na czele ruszyły do leśniczówki u stóp góry Raczej. Zdawało nam się, że tu kończy się świat. Leśniczówka położona na wzgórku robiła wrażenie małego pałacyku.

Mrok już zapadał, gdy spożywałyśmy ugotowaną przez nas same kolację. Przyszła nam myśl, aby rozpalić ognisko. Rozbiegłyśmy się po lesie po suche gałęzie i za chwilę buchnął ogień snopem iskier w lazurowe niebo, na którem coraz, więcej błyskało gwiazd. Zaczęłyśmy śpiewać chórem, a trzask płonącego ogniska, syczenia iskier i szum boru łączył się ze śpiewem naszym. Późna już była pora, więc po odmówionej modlitwie udałyśmy się na dobrze zasłużony odpoczynek.

Rozłożyłyśmy pachnące siano w stodole i znowu ze śpiewem coraz cichszym i słabszym — zasnęłyśmy.

Nazajutrz po wcześnie spożytem śniadaniu wyruszyłyśmy na szczyt Raczej, która ma około 1300 m. wysokości. Droga wiodła wąską ścieżyną pomiędzy świerkami z jednej, a wysoką bujną trawą z drugiej strony. Tonęłyśmy po pas w wonnej zieleni, zbierając po drodze doskonałe maliny.

W południe byłyśmy już na szczycie, skąd roztacza się rozległy widok na Tatry i Małą Fatrę. Odpoczynek był krótki, bo na 5·18 miałyśmy być w Zwardoniu i stamtąd pociągiem powrócić do Węgierskiej Górki. Trzeba zaznaczyć że jedną nogą byłyśmy poza granicami Rzeczypospolitej i czeskie borówki na szczycie Raczej bardzo nam smakowały.

Droga powrotna okazała się nie tak łatwą, bo wiodła poprzez niezliczone góry, pagórki, dolinki i wąwozy. Pomimo bardzo krótkich wypoczynków o godz. 5-tej jeszcze nie byłyśmy pewne, czy zdążymy złapać pociąg.

„O żeby nie zdążyć, cóżby to była za rozkosz!“ Gotoweśmy były jeszcze jedną noc przespać w stodole i przeżywać wiele miłych przygód — tylko to gorsze, że nasze zapasy już się wyczerpały! — Zrezygnowane — ostatni odpoczynek zrobiłyśmy na górce, z której widziałyśmy doskonale stację i szereg wagonów towar.

Powstała myśl, czybyśmy towarówką nie pojechały do Górki? Doszedłszy na stację, zostałyśmy wpuszczone cichaczem do wagonu służbowego. Pani G. umiała życzliwie usposobić dla nas pana naczelnika i ten nietylko ulitował się nad nami i zabrał nas, jako kolonję kolejarską, ale przewiózł do Górki bez pieniędzy.

O 9-tej i pół byłyśmy w Górce, a około 10-tej w doskonałych humorach dotarłyśmy do naszej szkoły.

Tamte dziewczątka były już w łóżkach. Niepokoiły się o nasze losy, to też ze szczerą radością nas przywitały.

Zjadłyśmy kolację z wilczym apetytem i udałyśmy się na upragniony spoczynek po bardzo miłej ale uciążliwej wycieczce.

„Ar“ kurs V.

ZŁOTE MYŚLI.

Szczytna odwaga polega na tem,
by zrobić nawet bez świadków to,
co się robi wobec licznych tłumów.

J. Korzeniowski.

MOC NAD SAMYM SOBĄ
JEST POEZJĄ DOJRZAŁOŚCI.

Z. Krasiński.

NIC DOBREGO, SZLACHETNEGO NA TYM ŚWIECIE
BEZ DŁUGICH BOLEŚCI i TRUDÓW.

Z. Krasiński.

Z moich wieczorów.

Ciemno już było. — Wieczorne godziny spłynęły na świat. Stary zegar ścienny ocknął się z zadumy, westchnął chrapliwie i jął beztrosko wydzwaniać godzinę. Przez okna wpada do pokoju struga seledynowego światła. — Cisza tu zupełna, tylko z za ściany dolatują lekko przytłumione tony fortepianu.

Czemu te dźwięki tak leniwie płyną, tak luźno? Co ten fortepian śpiewa? Tak trudno poznać! Zdaje się..... A.....! wiem!

Leci liście z drzewa, co wyrosło.....
Och! spać! spać!
Godziny senne, zmierzchły jesienne
drogi w mgłę wszystkich rozwiane dróg...

Przelatuje przez umysł z błyskawicą jakiś wyjątek i mija bez echa.

Ale czemu ja leżę? Dopiero dziewiątą zegar wydzwonił, a ja mam tyle, tyle roboty! Dlaczego to tak? - - Gorąco - - strasznie gorąco. — Oczy, do pół zamknięte powiekami patrzą uporczywie w jeden punkt. Na tle jasno oświetlonej szyby majaczy coś leciutko, niewyraźnie. To nie jest cień, rosnącego za oknami jesionu! To nie jest cień... Tak, tak... zaczynam poznawać

W pamięci znowu coś przemknęło.

O, przyszłaś znowu..... Rozwidnijże oczy!
Prawda, że mrok się do pokoju wkradł...
O tak jest dobrze, kiedy mnie otoczy
Zamglenie rąk twych i cisza twych szat.

Aa! Znam cię, znam! Od dzieciństwa tyś gościem jest częstym. Pamiętam Cię dobrze! Wieszałaś się na siatce dziecięcego łóżeczka, później kołysałaś się nieznacznie na białej firance u okna, choć powiadali, że to wiatr tylko... Czasem, bywało, kładłaś się na promieniu miesięcznym, a dziś stoisz nieruchomo i patrzysz, patrzysz temi bezdusznemi oczyma..... Wiem już teraz kto mi kazał odejść od pracy, kto mię od całego biegu życia w tyle zatrzymuje. I z tego cię już znam.....

Jak gorąco.... Senne powieki ciężko opadły na oczy. A ten fortepian tak wolno gra, tak leniwie... Ale to dobrze, bo inaczej nie nadążyłabym mu.

Jak mi dziś trudno iść, a tu długa droga przedemną. Byle dotrzeć na szczyt wzgórza, minąć kapliczkę między zbożami, potem już łatwiejsza droga. Dziś chyba zaniecham wyścigu ze słonkiem, bo wcześniej złocista jego tarcza zajaśnieje na wschodzie, niż ja stanę u celu.

Tak trudno iść w upał taki niezwykły, choć dopiero świta. Teraz przez łąkę i już pewnie rzeka, bo wszystko roztopione w mgłach... Jeszcze do góry i już stary las, a w tym borze wąwóz skalny taki cudny, niedostępny, dziki parów — mój! Na dnie potok rwący szumi wśród paproci, jakby z bajki, wśród omszałych głazów! Tutaj ślicznie, tutaj cicho, tutaj jest „mój“ świat! W górze, wśród sosen poszum się dziwnie poważny niesie — potok wciąż gada i gada....

— Czy to nie pasaż tylko we wiolinie? — Ej nie! — To woda, tylko miast chłodu, dziś niesie żar. Dziwna ta woda i dziwny dziś las. Mroczniej w nim jakoś i parno i głucho. — Wszystko na chwilę jakby usnęło.....

Cisza się w sobie śniąca zapomina,
Cienie bezwładnie kładą się na wznak.

Skąd mi to przyszło? — Cicho..., potok się ożywił i wśród paproci płynie jego szept:

. . . . . przyszłaś znowu... przyszłaś tu...
tutaj, gdzie odludzie. Tutaj tylko my i ty... my i ty...
źle ci smutno... czegoś żal?

Czy ci dola, czy niedola, nie idź w świat, do ludzi, choćbyś dzionki całe, noce, z ludźmi smutkiem się dzieliła — to, co w sercu twem — jest twoje. Ból jest twój, tylko twój — niepodzielny — niewydarty, zawsze twój, wiecznie twój. On jest twój, on jest twój... Czy ci dola, czy niedola — otul w senność blady lęk, przychodź tu, gdzie pod jasną głębią nieba stoi czarny bór.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Ktoś płacze... komuś smutno... ktoś jest taki sam..... Z pod zaciśniętych powiek spłynęła łza i seledynowy promień przejrzał się w niej — w ostatniej chwili, nim spadła na poduszkę.

— To fortepian się żali, jego to skarga łzami po klawiszach spływa — to jeszcze smutno. — Płynie melodja cicha, dziwnie nieuchwytna, a tak dobrze sercu znana — niewiem skąd. Zda się, jeszcze nad własną kołyską słyszana w przedwieczorny czas . . . Chopin? Schumann? Grieg? „Legenda"? Nie wiem nic nie wiem nic.

Cichutko, cichuteńko
na strunach duszy coś gra
i serce łka
cichutko, cichuteńko...

I tęskność ogromna rozlewa się wkoło — lecz skąd się bierze i skąd pochodzi — dlaczego w sercu nurtuje, sama swego nie znając celu?

Szczęścia, szczęścia choćby chwilę
Przelotną wśród burz
Co skrzydełka ma motyle
Znika z brzaskiem zórz.

Szczęścia? - Nie! Przed niem wzbiera lęk! Ale ta tęskność przecież nie wemnie — ona w melodji tak gada . . . . . a nie tęskność sama w niej. —

. . . . i niesie naręcze
pieściwych wzruszeń, majaków i złud,
wspomnień, zapomnień promienie pajęcze,
woń jakichś sosen, poszept jakichś wód.

Kto mówił o sosen woni? To było dawno... A teraz pachną kwiaty, jak wtedy w parku. I tyle, tyle było tych róż! O! cały tłum ślicznych, białych główek pławi się w ostatnich blaskach zachodnich łun! Czy i im też ciężą główki, że je w dół schylają? Senne róże, białe róże, dobrej nocy wam..... —

Ciąży głowa — och, jak ciąży — a gdzie róże? kto je wziął?

Gorąco . . . ciemno... A kto to pod oknem stoi ? ! Aha ! Toś ty ! Już idziesz ku mnie, a ja tak chcę spać! Jak dobrze z zamkniętemi oczami. Lecz czuję znów na sobie spojrzenie tych okrutnych oczu bez twarzy.

Czyje, czyje te oczy? — Jesteś już blisko — czuję każdy twój senny ruch — czuję bliziutko postać twą z wiewnej mgły. Już usiadłaś na pościeli..... jak gorąco..... ręce twe już przy mej twarzy — może niosą chłód... Już na czole — jakiż żar — zegar

krzyczy — ściany idą — gorąco — żar — coraz bliżej — duszno Boże! chylą się ściany — o Boże! Otchłań otwarta — lecę.... lecę, a tyś zemną. — Odwróć oczy! — weź te ręce — weź..! Duszą — dławią...! — Idź!

Ostre światło zalewa pokój i czyjaś chłodna ręka dotyka rozpalonych skroni.

„Znowu tosamo! Posłać po lekarza!“

Czy już „jej“ niema? Odeszła? A moje róże? Gdzie białe róże, skapane w czerwieni? Gdzie moje róże gdzie białe? — Zniknął tłum białych róż, chorej wyobraźni gra.

Zostały inne kwiaty zimowe

na szybie kwiatów błyszczy moc
rzeźbionych mrozem w białą noc...

Fortepian przestał grać — — i znowu cisza.

Ester.

KRONIKA. Dnia 30/XI odbył się poranek ku uczczeniu rocznicy powstania listopadowego i 900-setnej rocznicy koronacji *BOLESŁAWA CHROBREGO.* Opracowaniem i wykonaniem programu zajęły się koleżanki IV kursu.

Po przemówieniu jednej z uczenic, która dała nam obraz powstania listopadowego nastąpiły deklamacje, z których największe wrażenie wywarł wyjątek z KARMAZYNOWEGO POEMATU „Lechonia“.

Zespół skrzypcowy i chóry dopełniły programu w części pierwszej.

CZĘŚĆ DRUGĄ rozpoczęło przemówienie Dr. M. PAWLICOWEJ, która scharakteryzowała epokę walk podjętych przez *CHROBREGO.*

Śpiewy i deklamacje urozmaiciły i tę część programu.

Obie uroczystości zakończyło odśpiewanie „ROTY“.

SZARADY.

I.

Pierwsze na wodzie widzieć się daje
Drugie pod igłą zwykle powstaje
Trzecie do sportu znów się używa
WSTECZ zaś nieznanem pojęciem bywa
WSZYSTKO zaś razem będzie całość, która
Wszystkim jest znana z płodności p i ó r a

II.

Pierwsze i drugie to napój u nas dobrze znany
Drugie i trzecie to przedmiot w kuchni używany
CAŁOŚĆ odgadnąć łatwo — nie trzeba mądrości,
WSZYSTKO razem jest bowiem kawałkiem całości.

„Jagienka" kurs IV.

Nakładem Uczenic Pryw. Sem. Naucz. Tow. Szkoły Lud. w Krakowie.